

5.WCZESNE CHRZEŚCIJAŃSKIE PRZEŻYCIA

5.WCZESNE CHRZEŚCIJAŃSKIE PRZEŻYCIA

Nie wiem, czy każdy może sobie przypomnieć ten moment w swoim życiu, kiedy po raz pierwszy usłyszał imię Jezus. Moje najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa sięgają czasów "dziecięcych pieszczot" i kojarzą mi się najczęściej z domem modlitwy, Biblią, pieśniami i modlitwami. Podobnie jak młodego Samuela, tak i nas prowadzono do łóżek przy lampach świętości i budzono nas poprzez poranne śpiewy. Mając takich rodziców jakich ja miałem, czułem, jakby ręka Boża była nade mną. Odbierałem to, jako wielkie błogosławieństwo. Gdy wspominam czasy dzieciństwa to kojarzą mi się one zawsze z pobożnym "Amen" mojej matki, czasem z pieśnią: "Przyjaciel dzieci", której uczyliśmy się śpiewać, z tym jak wzrastała w moim sercu wiara w Pana Jezusa i z tym, jak nam stale powtarzano słowa, że powinniśmy myśleć o Jezusie i oddać Mu nasze serca. Miałem szczęście, że byłem dzieckiem wierzących rodziców, którzy strzegli mnie, obserwowali i zawsze mieli oczy szeroko otwarte. Nie pozwalali mi na to, abym zadawał się z jakimiś podejrzanymi kolegami. Ostrzegali mnie przed światem i jego rzeczami, które nie powinny mnie pociągać. Od wczesnych lat uczyli mnie Bożej drogi. Nadszedł taki czas, kiedy musiałem podjąć decyzję. Decyzję przynaglaną przez wylane łzy ojca i matki z mojego powodu oraz zanoszone wołania w kierunku nieba. Gdyby nie łaska Boża i okazana mi Jego pomoc, to z pewnością zostałbym sam, byłbym odrzucony. Znieczuliłbym moje sumienie, aby nie walczyło z moimi wewnętrznymi przekonaniami i z pewnością byłbym dziś martwym człowiekiem, pogrzebanym i osądzonym. Ciężar, który próbowałem sam nieść przytłaczał mnie coraz bardziej. Sam kopałem sobie grób i w jego kierunku podążałem. Może zostałbym, wśród tych wszystkich bezbożnych, nawet kimś znaczącym, ale co to by mi dało, nadal byłbym martwym człowiekiem.

A dziś zwyciężam w Chrystusie i walczę o Jego prawdę. Z wielkim smutkiem w sercu wspominam te czasy kiedy zakrywałem swoją twarz przed Zbawicielem i tak w tym stanie trwałem, miały lata. Wiedziałem jaki jestem, miałem wyrzuty sumienia, wiedziałem, że potrzebuje Zbawiciela. Napominali mnie ci, którzy chodzili w Chrystusie, którzy mieli radość i pokój, czego ja niestety nie miałem. Zdając sobie z tego sprawę i tęskniąc za tym, czego nie miałem, nadal oddalałem się coraz bardziej i bardziej, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc.

Wiedziałem o innych, którzy podobnie jak ja czynili. Mówiłem sobie, że jeszcze nie teraz, że jeszcze mam czas i zdążę przyjść do Jezusa. Może na starość, gdy będę leżał na łożu śmierci, wtedy będę miał czas, aby o Nim pomyśleć, o Jego krwi, która ma moc mnie oczyścić. Och, moja biedna duszo, teraz mógłbym cię za to spoliczkować. Teraz mógłbym skarcić moje serce, kiedy o tym pomyślę, że tak długo chowałem moją twarz przed Chrystusem i z mego powodu krwawiło serce Jezusa, a ja się od Niego odwracałem.

Dzieci zamykają się często przed swoimi rodzicami i nie potrafią z nimi o wszystkim rozmawiać. Podobnie było ze mną. Rodzice byliby chyba ostatnimi, z którymi chciałbym rozmawiać o stanie mej duszy. Nie dlatego, że nie kochałem rodziców i nie dlatego, że rodzice nie kochali mnie. Po prostu tak było. Jakiś dziwny wstyd powoduje, że zatroskana dusza oddala się od najbliższych. Własnymi słowami nawet tego nie jestem w stanie wyrazić, ile zawdzięczam świętym słowom wypowiedzianym przez moją mamę. Zazwyczaj w niedzielę wieczorem zostawała tylko sama matka z nami w domu. Jak zawsze siadaliśmy wszyscy przy stole i czytaliśmy werset po wersecie z Biblii, a ona tłumaczyła nam Słowo. Potem nadchodził czas, kiedy mogliśmy ją o coś poprosić i wówczas czytała nam książkę Aleine pod tytułem "Alarm" albo książkę Baxtera "Wołanie nienawróconego". Oczywiście wszystkie napomnienia były kierowane do nas wszystkich siedzących przy stole. Matka stawiała nam często pytanie, które brzmiało: "Jak długo jeszcze będziecie zwlekać, nadszedł czas, aby się nad sobą zastanowić i zacząć szukać Pana." Na koniec matka się modliła. Niektóre słowa z modlitwy matki utkwily nam na zawsze w naszych uszach. "Panie" - modliła się - "wiem, że jeśli moje dzieci nadal będą grzeszyć to poginą i nie dlatego, że są nieświadomi. A ja wiem, że w dniu sądu moja dusza będzie musiała świadczyć przeciwko nim."

Już na samą myśl, że moja matka musi złożyć świadectwo przeciwko mnie, trafiła w moje sumienie i poruszyła moje serce. Rodzice są najczęściej narzędziem, którym posługuje się Bóg, jeśli chodzi o ratowanie ich dzieci. Nikt nie jest w stanie pojąć tego, ile zawdzięcza swojej matce. Jakże mógłbym zapomnieć te łzy spływające z jej oczu, gdy mnie napominała, kiedy do mnie mówiła, abym się ratował przed gniewem Bożym. Jakże mógłbym zapomnieć to, jak modliła się o mnie klęcząc na kolanach i trzymając swoje dłonie na moich ramionach. Przypominam sobie jak ojciec opowiadał o pewnym zdarzeniu, które miało miejsce w naszym domu.

Ojciec często wyjeżdżał, aby służyć Słowem Bożym. Kiedyś wyjeżdżając na służbę usłyszał oskarżające słowa i obleciał go strach, mianowicie, że zaniedbuje swoją rodzinę, a poświęca czas dla innych i troszczy się o dusze innych. Postanowił więc wrócić do domu. Gdy wszedł do domu ogarnęło go zdumienie. W domu na dole nikogo nie było. Z góry dochodził go głos modlącej się matki, która modliła się właśnie do Boga, prosząc Go o ratunek dla jej dzieci. Najgorliwiej modliła się za Charlsem, jej pierworodnym i najbardziej upartym synem. Gdy ojciec to usłyszał, po cichu się wycofał i spokojnie pojechał na służbę, bo wiedział, że jest w domu ktoś, kto troszczy się o dzieci.

Ileś lat później powiedziała matka do mnie tak: "Wiesz co Charles, modliłam się do Boga i prosiłam Go, abyś został chrześcijaninem, a nie o to, abyś został baptystą."

Nie mogąc się powstrzymać, odpowiedziałem: "No widzisz matko, jak Bóg wysłuchał twojej modlitwy i dał ci więcej niż to, o co, Go prosiłaś."

Jako czternastolatek jeszcze o baptystach nie słyszałem tego, co do mnie później docierało, a to co o nich mówiono, nie było zbyt pochlebne. Ale pomimo to, moi rodzice uważali ich za całkiem niezłych ludzi. Tak to wtedy odbierałem, prawdopodobnie dlatego, że wciąż ich oczerniano.

Niektórzy ludzie uważają, że dzieci są zbyt małe, aby pojąć sprawy wiary. Są i tacy nauczyciele szkółek niedzielnych, którzy celowo nie zagłębiają się, ucząc ewangelii, twierdząc, że niektóre tematy są dla dzieci za trudne. To jest błędne zrozumienie, które przedostało się nawet za kazalnice. Są też i tacy kaznodzieje, którzy uważają, że nie należy zagłębiać się w Słowo Boże, bo słuchacze mogliby je źle zrozumieć i wyszło by im ono tylko na szkodę. Tacy ludzie nie nadają się jako kaznodzieje. Precz z takimi. Wszystko, co mi Bóg objawił, będę głosił innym, nawet kiedy może sam czegoś nie rozumiem. Jestem przekonany, że nie ma w Słowie Bożym takich prawd, które by dziecko Boże nie mogło pojąć. Ja nauczam dzieci wszystkich

prawd Biblijnych, bez wyjątków, po to, aby dziecko mogło się ich uchwycić i później się ich trzymać. Przypominam sobie, że ja, jako dziecko, wiele z Biblii rozumiałem i nawet na wiele tematów mogłem dyskutować. Dzieci szybko pojmują i szybko się uczą ze Słowa tych prawd, których my w późniejszym wieku uczymy się wolno, a niejednokrotnie nie jesteśmy w stanie pojąć. Wiara dziecka jest bardzo prosta i w tej prostocie przyjmuje ono Ewangelię. Zastanówcie się, komu jest łatwiej przyjąć i zrozumieć Ewangelię, dziecku czy jakiemuś religijnemu filozofowi.

Dziecko w prostocie serca przyjmuje Słowo i ma czasami takie przemyślenia, że zastanović by one mogły niejednego dorosłego, któremu rozsądek nakazuje inaczej myśleć. Jeśli kto nie wierzy, a chciałby się przekonać to niech popatrzy na dzieci z naszego zboru, albo od innych wierzących rodzin. Nie spotkamy tam jakiś "cudownych" dzieci, ale spotkamy tak małych "Tymoteuszów" i "Samuelów" oraz małe dziewczynki, które już od najmłodszych lat uczą się kochać naszego Pana. Gdy dziecko zaczyna rozumieć to, że jest zagubione, to dzięki łasce Bożej może zrozumieć i rozpoznać, że musi się ratować. Gdy tylko dziecko zaczyna źle czynić, to jest też w stanie zacząć rozumieć i przyjmować Słowo Boże. Jeżeli dziecko potrafi szybko nauczyć się czynić zło, to możesz być tego pewny, że z pomocą Ducha Świętego może szybko nauczyć się czynić dobro.

U nas w domu w niedzielę nigdy się nie gotowało. Jeśli już to tylko zimą stawiało się na stole coś ciepłego. Przeważnie był to budyń, który gotowało się już w sobotę. Albo kilka ziemniaków, które podgrzało się w sobotę nie wkładając w to zbyt wiele czasu i pracy. Czy nie jest tak lepiej i bardziej po chrześcijańsku, niż wyprawiać wielką ucztę niedzielną, a do tego zatrudniać jeszcze "niewolników kuchennych." A jeśli dom, w którym odbywały się zgromadzenia był daleko, albo jeśli była zła pogoda i z tego powodu trzeba było wyprowadzić konia ze stajni, to chrześcijanie starej daty zawsze dawały zwierzęciu dzień sabatu - było to albo w sobotę albo w poniedziałek. A jeśli ktoś miał woźnicę i ten musiał zaprząć konia, to dawano mu wystarczającą ilość czasu, aby mógł potem wraz z całą rodziną skorzystać ze zgromadzenia. A po zgromadzeniu wszyscy cierpliwie czekali, aż zostanie zaprzęgnięty koń, ponieważ chciano, aby woźnica do końca brał udział w nabożeństwie i żeby był obecny zwłaszcza pod koniec zgromadzenia, kiedy pastor udziela wszystkim zgromadzonym błogosławieństwa.

O pastorach z mojego dzieciństwa mam różne wspomnienia, dobre i złe. Przypominam sobie takiego jednego, który bez przerwy powtarzał wciąż to samo zdanie: "Jak już wcześniej powiedziałem." albo "Powtarzam jeszcze raz."

Ach! Moja kochana duszo, ponieważ w tym co pastor mówił nie było nic szczególnego, więc powtarzał wciąż te same zdania, które świadczyły tylko o tym, jaki miał poziom myślenia. Jeśli on miałby coś nowego do przekazania, to nie powtarzałby wciąż tego samego. Wszystko ma swój czas i w danym czasie może być to dobre - ale jeśli stanie się przyzwyczajeniem - to może być dla słuchaczy rujnujące. A potem dziwi się, że nikt ich nie słucha, no bo i po co, przecież za następnym razem wszystko będzie powtórzone. Byli i też tacy pastory, których kazanie było suchym i monotonnym wykładem. Nie warto było zadawać sobie tyle trudu, aby ich wysłuchiwać. Nie było w nim nic, co by mogło zbudować - rzeka słów - w których zatapiani byli chrześcijanie wraz z ich nadzieją.

Przez jakiś czas przysłuchiwałem się pewnemu pastrowi, którego przesłaniem było, o ile dobrze rozumiałem: "czyń to, czyń tamto, a będziesz zbawiony." Według jego teorii nawrócenie było prostą rzeczą, w każdym czasie było możliwe, a osiąść nowe serce, to sprawa kilku sekund. Więc pomyślałem sobie, że nie ma się co spieszyć, przecież jeszcze zdążę i choćby na łożu śmierci. Ale Bóg wstrząsnął moją

duszą i przekonał mnie, że tak nie może być. Padłem na kolana i zacząłem się modlić. Tak to była modlitwa, chociaż na to nie wyglądało. Ale Bóg wiedział. Taki „nikt” jak ja skorzystałem z obietnicy. Ośmieliłem się skorzystać z nadziei, jaką dostałem, że Bóg na mnie łaskawie wejrzy. Zacząłem zbliżać się do tronu łaski. Wszystko wydawało mi się takie nieprawdopodobne. "Jak to ja? Taki nędznik, zbliżam się do tronu." Czułem jak z oczu lecą mi łzy, żadne słowo nie mogło mi przejść przez gardło, wydobywały się tylko westchnienia, czasami jakieś "ach" i "och", "Ach, jak byłoby to wspaniałe!" to było wszystko, więcej nie byłem w stanie wypowiedzieć.

To była moja modlitwa, chociaż ja ją wtedy za modlitwę nie uważałem. Jak trudno wydobywały się słowa z ust poruszanego grzesznika stojącego przed Bogiem. Gdzie siła? Gdzie bojowość? Byłem tak słaby i czułem się jak woda rozlana, a czasami jak twardy kamień młyński.

Któregoś dnia zostałem zdruzgotany kazaniem wygłoszonym przez pastora, który miał u mnie duży autorytet. Serce dygotało we mnie, cały się trząsałem. Chciałem szukać Pana, ukląknę na kolana i zacząłem wylewać moje serce przed Panem. Ośmieliłem się znowu wejść do Jego świętości, aby słuchać Jego Słowa w nadziei, że będzie mi łaskawy i pośle mi cenną obietnicę jako pocieszenie. Ale akurat tego popołudnia słuchałem kazania, w którym nie było Chrystusa. Straciłem moją nadzieję. Jakże byłem spragniony i pragnąłem napić się ze źródła, od którego mnie odpędzono. Uwierzyłem w Chrystusa i wzdychając, tęskniłem za Nim.

To straszne kazanie i te okropne rzeczy, o których była tam mowa. Moja biedna dusza pogubiła się, nie wiedziała już więcej co jest prawdą, a co jest kłamstwem. Myślałem wtedy, że ten pastor mówi prawdę i tak odpędził mnie on od źródła. Nie miałem już odwagi aby się modlić, straciłem wiarę, nie byłem w stanie uchwycić się Chrystusa. Stałem na zewnątrz, czułem się odrzucony chyba bardziej niż ktokolwiek inny.